

O równości i równych szansach¹

Autor: **Arnold W. Green**

Źródło: [Journal of Libertarian Studies](#)

Tłumaczenie: **Agnieszka Adamczyk**

Nawet najbardziej fanatyczny egalitarysta nie zaprzeczy, że geny w znaczącym stopniu wpływają na inteligencję, siłę, witalność i predyspozycje do rozwoju pewnych umiejętności u danej jednostki, a być



może nawet je determinują. Z brakiem równych szans mamy jednak do czynienia jeszcze w trzech innych wymiarach. Mimo iż są to zjawiska powszechne, często je przeoczamy lub nawet zaprzeczamy ich istnieniu. Do jakiego stopnia mają one podłoże filogenetyczne pozostaje zapewne kwestią otwartą, ale niezaprzeczalnie wszystkie trzy są głęboko zakorzenione w ludzkiej naturze.

Po pierwsze, wbrew obecnym trendom w amerykańskich komiksach satyrycznych, wszędzie i we wszystkich epokach, to mężczyźni dominują nad kobietami. Społeczności matriarchalne, przytaczane często jako przykład sytuacji odwrotnych, są tak naprawdę jedynie matrylinearne. Również w ich przypadku, jak mówi Lionel Tiger, forum publiczne to forum męskie. Życiem instytucji sterują mężczyźni. Najwidoczniej tylko oni w kryzysowych momentach działalności gospodarczej potrafią wzbudzić u podwładnych chęć do „podążania za przywódcą”, zmotywować do obrony przed atakiem z zewnątrz i utrzymać wewnętrzny porządek. Tylko mężczyźni tworzą owe „więzi”, na których opierają się struktury hierarchiczne.

Po drugie, dzieci są zwykle podporządkowane rodzicom. Podobnie jak w przypadku męskiej dominacji, ze zjawiskiem tym mamy do czynienia u innych zwierząt społecznych, w szczególności u naziemnych gatunków małych. Sytuacja

¹ Praca przedstawiona na Symposium on Human Differentiation zorganizowanym przez Institute for Humane Studies, na wydziale Institute of Paper Chemistry w Appleton (Wisconsin), w sierpniu 1970 r.

człowieka jest oczywiście bardziej skomplikowana ze względu na dłuższy okres dorastania i szczególną potrzebę opanowania umownych symboli językowych.

W młodych trzeba zaszczepić podstawowe wartości i tradycje grupy, do której są włączane, wykształcając u nich umiejętności niezbędne do funkcjonowania w niej jako osobnik dorosły. Dorosłe osobniki zachęca się do poświęcania tym zadaniom wiele czasu i energii, wzbudzając w nich nadzieję, że również im przypadnie odrobina władzy i obowiązującego powszechnie szacunku.

Po trzecie, pomiędzy dorosłymi samcami toczy się powszechna walka o dominację. Etolodzy wysnuli przypuszczenie, że tego rodzaju zachowanie jest filogenetycznie „zaprogramowane” w męskiej psychice. Występuje u wszystkich małych człekokształtnych stawiających obecnie czoła warunkom ekologicznym zbliżonym do tych z czasów naszych małych przodków. Oczywiście indywidualne umiejętności bojowe też są ważne, ale większość zachowań związanych z walką w obrębie gromady, grupy terytorialnej lub klanu jest „zrytualizowana” i nie jest do końca jasne, czy rozmiar i siła odgrywają równie istotną rolę u wszystkich gatunków. Najważniejszym czynnikiem może być siła „woli”, a za nią umiejętność pozyskiwania pomocy i współpraca z innymi samcami w ramach określonej hierarchii.

Według Roberta Ardrey’a i Konrada Lorenza, agresja i ustanawianie przywództwa pełnią wiele kluczowych funkcji. To dzięki nim osobniki są odpowiednio rozmieszczone na całym dostępnym terenie. Zagwarantowane jest częste rozmnażanie najsilniejszych genetycznie samców. Struktura hierarchiczna warunkuje przywództwo i dyscyplinę. Wszelkie zatargi i sporadyczne walki dusi się w zarodku. Samice i młode samce znajdują opiekunów. Problem obrony przed wewnątrzgatunkowymi lub międzygatunkowymi wrogami jest łatwiejszy do rozwiązania, gdyż rozmieszczenie — dajmy na to: grupy pawianów — jest z góry ustalone: samce dominujące ścierają się bezpośrednio z wrogiem, osobniki niższej rangi walczą ze sobą na flankach, a te wymagające ochrony gromadzą się w środku. W myśl zasady „szlachectwo zobowiązuje”, za dominującą pozycję trzeba zapłacić pewną cenę. Jest nią obowiązek ponoszenia największego ryzyka na linii obrony, a w niektórych wypadkach również w trakcie grupowego polowania na niebezpieczną zwierzynę.

W społecznościach zwierzęcych hierarchię ustala się na drodze współzawodnictwa na stosunkowo wczesnym etapie kariery samca, stąd raz

zdobyta pozycja przywódcy nie jest narażona na ciągłe wyzwania, a wręcz jest ona w jakiś sposób „uprawomocniona”. Kiedy dominujący samiec pawiana zaczyna się starzeć, jego przywództwo może być coraz częściej lekceważone, w miarę jak na prowadzenie wysuwają się młodsze samce, jednak ciągle przysługuje mu się coś, co można by określić jako szacunek i pewną dozę poważania.

Jeśli chodzi o dominację i status społeczny u naczelnych, a być może również u naszych małych przodków, najbardziej godną odnotowania informacją jest zapewne fakt, że na wysoką pozycję trzeba zapracować samemu. Mały przekazuje potomstwu wyłącznie genetyczną skłonność do „dominacji” lub „podporządkowania”. Status sam w sobie nie podlega dziedziczeniu, a więc w życiu społecznym istnieje pewna płaszczyzna równych szans, nieznaną u ludzi. Dziedziczenie statusu społecznego, jako zachowanie typowo ludzkie, odegrało w historii bardzo ważną rolę. Stanowiło fundament porządku i ciągłości władzy, ale również źródło niegasnącej zawiści i frustracji, a nawet buntu.

Pewne, choćby minimalne, zakłócenie stanu pierwotnej równości szans jest nieuniknione. Bez względu na to, czy podstawowa struktura rodziny jest oparta na więzach krewniaczych czy małżeńskich, istnieje wyraźna tendencja, a nawet motywacja, do wspierania bliskich krewnych, w szczególności własnych dzieci, w walce o status lub pozycję. Większość ojców zachęca i uczy swoich synów, aby — o ile to możliwe — przodowali w tych umiejętnościach, które są akurat cenione, czy to na polu walki czy gospodarki. Wraz z pojawieniem się rozbudowanych powiązań własnościowych zarówno te rodzicielskie wysiłki, jak i proces transmisji statusu społecznego stały się o wiele bardziej widoczne.

Z tego samego powodu nawet obecny podział pracy, który znacząco zwiększa możliwości awansu społecznego, nie może zagwarantować całkowitej równości szans. Niektóre umiejętności specjalistyczne, w szczególności te związane ze sprawowaniem kontroli, wymagają wstępnego treningu. Kształcenie ich należy rozpocząć, jak tylko u małego dziecka ujawni się talent lub potencjał przywódczy. Jedna rodzina będzie swoje dziecko motywowała, uczyła oraz rozwijała u niego pewne wzorce zachowań, takie jak zapobiegliwość, pilność, świadomość odroczonej gratyfikacji, pragnienie samorealizacji i zdolność manipulowania współpracownikami, a inna nie. Odpowiednia opieka nad

dzieckiem może mu zapewnić przewagę we współzawodnictwie, nawet jeśli nie odziedziczyło ono genów dominacji ani odpowiedniego statusu społecznego.

Na przestrzeni wieków *bezpośrednie* dziedziczenie statusu społecznego było jednak powszechną regułą. Ludzkie stosunki społeczne od zawsze sprzyjały rozwojowi zawiści i wrogości wobec zajmujących wysoką pozycję wybrańców.

Z tego, co wiemy, takie zachowania nie występują w społecznościach naczelnych. Przez wieki opisane wyżej przejawy braku równości (mężczyzna kontra kobieta, dziecko kontra rodzice, mężczyzna kontra mężczyzna) były, nawet bez odpowiedniego uzasadnienia, akceptowane lub przynajmniej tolerowane. Dziś zawzięcie sprzeciwiamy się ich istnieniu, ale to już wymysł naszych czasów.

Bezpośrednie dziedziczenie statusu społecznego, które w dużym stopniu zawężyło grono uprzywilejowanych i zamyka większość mężczyzn w okowach walki klasowej, było od zawsze kwestionowane. Żydowskie przymierze zapewniało wszystkim ludziom równość w oczach Boga, bez względu na to jakie nierówności społeczne istniały między nimi samymi. Ludzkie sumienia najbardziej dręczyło zaś istnienie niewolnictwa. Ideę posiadania człowieka na własność nieustannie *podawano w wątpliwość* również w starożytnej Grecji, i to mimo uczonych wywodów usprawiedliwiających ją zapewne domniemaną koniecznością gospodarczą, traktowanych z pobłażaniem przez Platona i Arystotelesa. Zasadniczo stoicy uważali bowiem, że niewolnictwo nie jest dla człowieka stanem naturalnym i potwierdzali równość wszystkich ludzi, przy czym rozumieli ją nieco inaczej niż my. Uważali, że w pierwszej kolejności należy zawsze widzieć w każdym człowieka, a dopiero później zwracać uwagę na różnice społeczne, których istnienia bynajmniej nie negowali.

Wcześniej już Izokrates zauważył, że istnieje wyraźna różnica między równością a równymi szansami i każdemu trzeba oddać, co mu się należy.

W cywilizacji zachodniej wprowadzanie tej idei w życie wiązało się z ciągłymi napięciami. Często buntowano się bowiem przeciwko nieustannym próbom zawężania pojęcia „tego, co się należy” do z góry przyjętych podziałów. Przynależne człowiekowi przywileje określało już urodzenie, klasyfikując do lepszej lub gorszej warstwy społecznej. Fakt, że z jednej strony ciągle protestowano przeciwko takiemu stanowi rzeczy, a z drugiej uparcie próbowano w jakiś sposób uzasadnić jego istnienie, najlepiej dowodzi, że nigdy nie udało się

do końca zaradzić niezadowoleniu z sytuacji, w której części społeczeństwa odmawia się szansy dążenia do poprawy swojego statusu, innymi słowy: nie oddaje im się tego, co im się należy.

Wiemy oczywiście, że człowiek ma wrodzoną tendencję do tworzenia hierarchii społecznych. To filogenetyczny impuls, który Lionel Tiger nazwał skłonnością do budowania międzymęskich więzi. Wiemy jednak również, że na łowiecko-zbierackim etapie rozwoju człowieka, a zapewne także u naszych naczelnich przodków, każda forma hierarchii miała niezwykle dyskretny charakter i nigdy nie była dziedziczna. Każda jednostka, która chciała stanąć na czele grupy, musiała udowodnić, że posiada odpowiednie zdolności przywódcze lub pozostawać w odpowiedniej relacji z przywódcą, na co również trzeba było zasłużyć. Dziedziczny status społeczny przyniosło dopiero osiadłe, przydomowe rolnictwo i związane z nim nadwyżki żywności. W Afryce, Azji, Europie i Ameryce Południowej — niezależnie od siebie i na porównywalną skalę — wykształcił się zwyczaj dziedziczenia statusu społecznego. Podział pracy został podporządkowany sztywnym strukturom klasowym typu inkluzywno-linearne. Fakt, że pojawiły się one w tak wielu miejscach wskazuje, że ich rozwój również był zapewne nieunikniony.

Jednak ani same klasy społeczne, ani inkluzywno-linearna organizacja statusu zawodowego nie będą się dobrze sprawdzać w warunkach rozwiniętej industrializacji. Być może ich istnienie nie będzie nawet możliwe. Stwierdzenie Arthura Koestlera, że: „Wszędzie tam, gdzie istnieje życie, musi być ono hierarchicznie zorganizowane” dotyczy zarówno życia społecznego, jak i organicznego. W przypadku żadnego z nich organizacja w byty złożone nie opiera się jednak na strukturze inkluzywno-linearnej. W obrębie organizmów złożonych funkcjonują [holony](#). To podległe im konfiguracje anatomiczno-fizjologiczne, które w pewnych sytuacjach mogą stać się czasowo niezależne i wysunąć na prowadzenie. Przesyłają one informacje do wyższych ośrodków kontroli.

Z podobną sytuacją mamy do czynienia w złożonych społeczeństwach uprzemysłowionych. Struktura typu inkluzywno-linearne charakteryzująca dawne społeczeństwa preindustrialne jest tam zastępowana szeregiem mniejszych, przeplatających się hierarchii, a kontrola władzy zwierzchniej podlega pewnym określonym ograniczeniom. Każdy holon — okręg szkolny, wodociągi, straż pożarna, lokalna fabryka należąca do korporacji — musi do

pewnego stopnia funkcjonować jako autonomiczna, samodzielna jednostka. Znękany wychowawca klasy ze Związku Radzieckiego w obliczu groźby stopniowego upadku, rezygnował, choć z pewną ideologiczną niechęcią, z wielu zasad inkluzywno-linearne systemu kontroli.

Nawet w Rosji rząd nie mógł już dłużej pozostawać jedynym ośrodkiem władzy. Jak zauważył Peter Drucker, niezależność organizacyjna jest główną formą nacisku obecną dziś w rozwiniętych systemach gospodarczych. Dodał również, że dzięki istnieniu „pluralizmów” troska o przywództwo i pozycję społeczną niknie gdzieś w ogólnej strukturze rzeczy. Z tego względu w Ameryce nie istnieje żadna „elita władzy”, ani elita w żadnej innej postaci. Spójrzmy na odnoszącego sukcesy biznesmena, znanego piosenkarza rockowego, naukowca lub dowódcę sił powietrznych. Każdy z nich wie, że wysoką pozycję zajmuje jedynie na własnym polu i tylko tam może awansować. Poza swoją dziedziną nikt tak naprawdę nie stoi w hierarchii wyżej niż inni i z tego powodu etykieta dowodzenia uległa zapomnieniu.

I tak, mimo iż istnienie pewnych nierówności jest niezbędne i nieuniknione, nie muszą one wcale podlegać sztywnym zasadom lub opierać się na inkluzywno-linearnej strukturze, a już na pewno ich obecność nie musi się wyrażać w podziałach klasowych. Obecnie o klasach społecznych jest bardzo głośno, ale jak zauważył Pitirim A. Sorokin, zainteresowanie zjawiskiem społecznym zwykle rośnie w miarę, jak zjawisko zanika. W każdym razie, czy powołamy się na Marksa, czy na W. Lloyda Warnera, czy na C. Wrighta Millsa, nie sposób dowieść, że w Ameryce istnieje społeczeństwo klasowe.

Siła argumentów jest po stronie tych, którzy zaprzeczają tego typu insynuacjom. Po pierwsze, zjawisko dziedziczenia statusu społecznego zostało znacząco ograniczone i prawdopodobnie występuje jedynie sporadycznie. Można by je oczywiście ograniczyć jeszcze bardziej poprzez likwidację obecnego systemu organizacji rodziny, byłoby to jednak dość radykalne posunięcie. Po drugie, system klasowy opiera się zawsze na odpowiednich normach prawnych, a amerykańskie prawo usunęło niemal wszystkie specjalne przywileje lub „immunitety” (poza tymi przysługującymi związkom zawodowym, które z kolei poszerzono). Obecnie odpowiednia luka w prawie może doprowadzić do podważenia testamentu, chronić dzierżawcę kosztem właściciela i sankcjonować

polityczną redystrybucję dochodu. Według Roscoe Pounda, w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii doszło do „socjalizacji prawa”.

Wysoki współczynnik mobilności (zarówno w kontekście przestrzeni, jak i statusu społecznego) spowodował, że zanikło dawne poczucie przywiązania jednostki do danego miejsca, przy czym nigdy nie było ono w Ameryce równie silne jak w Europie. Istnienie systemu klasowego wymaga jednak czegoś więcej niż tylko odpowiednich norm prawnych. Musi opierać się na zasadzie, że majątek ziemski dziedziczny jedynie niewielu, natomiast wielu czuje się „spadkobiercami” swojej małej ojczyzny.

Z psychologicznego punktu widzenia, porządek klasowy utrzymuje się dzięki respektowaniu statusu społecznej „niższości” i „wyższości” przez wspólnotę, w której ludzie znają się nawzajem od lat, a nawet od pokoleń i w której każdy ma swój przydzielony status i uznaje go za wiążący. Obecnie bardzo niewielu ludzi nie ma zatrudnienia. Jednak nawet oni w relacjach społecznych odwołują się do hierarchii obowiązującej tych, którzy pracują, a jedynie w niewielkim stopniu próbują określić swoją pozycję, porównując się z innymi bezrobotnymi. W tej drugiej grupie nie nadaje im się żadnego statusu. We współczesnym, mobilnym świecie ludzi bez pracy można z łatwością unikać, stąd nie mogą się oni domagać szacunku.

Nie oznacza to, że pojęcie pozycji społecznej zupełnie zanikło. Nie istnieje ono jedynie w ścisłej, „klasowej” definicji tego słowa. Niewątpliwie niektórzy ludzie wciąż mają więcej pieniędzy, prestiżu i władzy niż inni. Jednak w dzisiejszej rzeczywistości przyznawanie pewnym jednostkom wyższego statusu służy wyłącznie organizacji pracy. Nie chodzi o stwarzanie podziałów klasowych ani o to, że ktoś działający w ramach swojej pozycji silnie wpływa na życie innych. Jednocześnie praca zaczęła odgrywać ogromną rolę w tworzeniu struktur społecznych. Badania pokazują, że Amerykanie traktują wykonywany zawód jako pewnego rodzaju etykietę, którą posługują się przy przypisywaniu sobie i innym określonej pozycji — nawet jeśli, jak już zauważyliśmy, trudno stwierdzić, kto podlega komu, kiedy mamy do czynienia z ludźmi z różnych dziedzin. Dziś to nie to, kim jesteś (rodzina), ani skąd jesteś (miejsce urodzenia) służy za główne źródło identyfikacji. Liczy się zawód, który wykonujesz, a pracować możesz równie dobrze w tym miejscu, jak i w innym.

W żadnym systemie społecznym nie zostanie osiągnięta całkowita równość szans, dopóki utrzymuje się instytucja rodziny. Choć oczywiście zarówno skala nierówności, jak i władza rodziny słabną. Przyjęta w kwestiach dziedziczenia polityka podatkowa ogranicza przekazywanie statusu społecznego dzieciom. Badania międzypokoleniowe wykazały, iż nastąpił gwałtowny spadek transmisji majątku z ojca na syna, a najlepsi fachowcy i dyrektorzy coraz częściej pochodzą z rodzin, w których ojciec pracował w innej dziedzinie lub zajmował niezwiązane z nią, niższe stanowisko. Powszechna dostępność opłacanego przez podatników szkolnictwa wyższego, z którego mogą korzystać wszyscy zdolni do zdobycia potrzebnych kwalifikacji (a przy okazji także ci niezdolni), powoduje, że dostęp do wysokich stanowisk stał się stosunkowo łatwy. Widać zatem wyraźnie, że „bycie dobrze urodzonym” determinuje szanse na odniesienie sukcesu w znacznie mniejszym stopniu niż kiedyś.

Osiągnięcie stanu prawie całkowitej równości szans nie powoduje jednak, że znikają wszelkie nierówności. Nie można się bez nich obyć przy podziale pracy, pewne minimum jest na świecie niezbędne, aby możliwe było wykonywanie określonych zadań. W każdej grupie potrzebni są ludzie, którzy wykonują żmudną, rutynową pracę. Inni muszą ją nadzorować i organizować. Jeszcze inni, jedynie nieliczni, muszą wyznaczać cele grupy i wdrażać normy zwiększające jej skuteczność operacyjną. Żaden holon nie jest z tej listy przymusów wyłączony. Pewnym przymusom podlega również włączająca struktura organizacji, której może być on częścią. Nawet jeśli w danej sytuacji nie mamy do czynienia z bezpośrednim przywództwem, musi istnieć jakaś autonomia i możliwość narzucenia innym kierunku działania. Powszechny rozwój umiejętności i wzrost dochodów spowodowały, że wielu ludzi nie dostrzega jednej, zasadniczej kwestii: dla liderów i menadżerów proporcje między umiejętnościami a dochodami pozostały takie same i przez samą naturę organizacji pracy muszą takie same pozostać. Ani ideologia, ani rewolucyjne mrzonki nie mają na tę sytuację żadnego wpływu.

Czy przy braku klas społecznych — w ścisłej definicji tego słowa — podział pracy może sam w sobie stać się podstawą organizacji struktury społecznej i zawodowej? Tak, pod warunkiem, że wyróżniane w ramach niego „stopnie” będą powszechnie uznawane. Przede wszystkim zaś musi upowszechnić się pogląd, że ci, którzy zajmują wysokie stanowiska, zasługują na nie, gdyż ich

wkład w dobro wspólne jest niezbędny. Nasilające się tendencje egalitarystyczne powodują jednak, że przekonanie to jest zdecydowanie mniej popularne niż kiedyś. Słabnie zarówno u tych, którzy zajmują wysoką pozycję, jak i u tych, którym ona nie przysługuje.

Mamy na to różnorakie dowody. Wielu dyrektorów przedsiębiorstw, w szczególności młodych, ogranicza swoje podstawowe obowiązki, aby poświęcić czas i energię na rozwiązywanie „problemów społecznych”, przy czym ani nie mają ku temu kompetencji, ani nie należy to do ich zadań. Badania porównujące pracę starszych i młodszych dyrektorów wykazują, że zarówno pragnienie odniesienia osobistego sukcesu, jak i chęć osiągnięcia wysokiej wydajności całej firmy nie są już tak silne jak kiedyś. Nawet *bez* podatku progresywnego zmniejsza się rozpiętość pensji między poszczególnymi warstwami społecznymi, na przykład między zwykłym wykładowcą a profesorem, między wyszkolonym pracownikiem a jego bezpośrednim przełożonym. Co gorsza, wykształceni, młodzi ludzie masowo rezygnują z dziedzin, w których trzeba wykazać się inicjatywą, takich jak zarządzanie przedsiębiorstwem i chronią się na opłacanych z podatków posadach w zbiurokratyzowanej oświacie.

Kiedy po raz ostatni usłyszeliście od któregoś z tych bystrych dzieciaków biorących udział w teleturniejach, że zamierza założyć własną firmę? One wszystkie pragną jedynie nauczać, kierować fundacją lub pracować dla rządu. Bez względu na to, czy, próbując wyperswadować im te plany, powołamy się na nieprawdziwy stereotyp dyrektorskiego garnituru, flanelowej koszuli czy bezmyślnego konformizmu, rosnąca rzesza absolwentów *collegu* nie chce pracować w biznesie lub przemyśle. Wstręt do tych dziedzin szerzy się przede wszystkim w dużych, prestiżowych uniwersytetach na wschodzie kraju, a jedną z jego konsekwencji jest stopniowa wymiana na najwyższych szczeblach drabin kierowniczych: na miejscu wywodzących się ze starej szkoły dyrektorów w krawatach pojawia się pierwsze pokolenie absolwentów z wykształceniem technicznym zdobytym na jakimś stanowym uniwersytecie.

Trudno powiedzieć, na ile odpowiedzialni są za to lewicowi ideolodzy, którzy już od czterech dekad wiodą prym na naszych liberalnych wydziałach humanistycznych. Fakty mówią jednak same za siebie: rosnąca grupa studentów drwi, przynajmniej na pokaz, z pogoni za sukcesem i mówi wprost, bądź jedynie daje do zrozumienia, że gardzi ludźmi, którzy osiągnęli go kosztem tego, co

nazywają służbą publiczną lub niesieniem pomocy innym. Niewielu z nich bierze pod uwagę, że może skuteczniej służyć i pomagać innym, wspierając pomnażanie majątku narodowego (a przy okazji również własnego), niż podpisując petycje, prowadząc sprawy sądowe bezrobotnych lub nawet działając w szeregach Korpusu Pokoju.

Chęć osiągnięcia korzyści własnych lub poczucie braku satysfakcji ze skromnych osiągnięć zawodowych wzbudzają w wielu młodych ludziach głębokie poczucie winy, co dowodzi, że w ich umysłach toczy się obecnie wewnętrzna walka. To starcie wartości propagujących samorealizację na gruncie kariery, u których podstaw leży etyka protestancka, i nowych, egalitarystycznych przekonań, które dążą do zniwelowania istniejących różnic oraz nakazują jednostce odrzucić wszelkie przejawy wartościowania społecznego u siebie, innych, a nawet w obowiązującym stylu życia. Założenia tego nowego nurtu nie są jeszcze do końca sprecyzowane, ale przesłanie stojące za owym, wyraźnie kulejącym w niektórych aspektach, typowo neoliberalnym trendem jest dość jasne: zniszczyć obecne standardy cywilizacyjne i wprowadzić większe ujednolicenie społeczne niż to nawet możliwe w prymitywnym plemieniu. Ujmując to inaczej, równość rzuca wyzwanie równym szansom na skalę niespotykaną dotychczas w tym kraju.

Są tacy, którzy nalegają, aby zakonnice ubierały się tak jak inne kobiety, a księża żenili jak inni mężczyźni. Postępowi eksperci do spraw wychowania twierdzą z kolei, że rodzice powinni słuchać swoich dzieci, które mogą ich wiele nauczyć. „Graj na perkusji w firmowej kapeli i pokaż, że jesteś jednym z nich” — radzi jedna z księżek opisujących, jak odnieść sukces na stanowisku dyrektora. Radykalne feministki domagają się, aby zniknęły wszystkie miejsca męskiego azylu: kluby, bary, motele, a niektórym z nich spieszo żegnać się z pierwotną kobiecą obsesją na punkcie bycia atrakcyjną seksualnie.

Podczas gdy w minionych epokach ci, którzy zajmowali niższe szczeble drabiny społecznej, starali się, aby ich styl życia podobny był do tych na górze, teraz aspiracje te skierowane są w przeciwnym kierunku. Jeszcze do niedawna nieustannie próbowaliśmy naśladować „lepszych” od nas. Wszystkie sporty, w tym futbol i jazda na rolkach, zostały do tego kraju wprowadzone przez „klasy wyższe”. Teraz biała młodzież, od zdeklarowanych hippisów po osobniki za wszelką cenę unikające ustępstw na rzecz kariery, bezkrytycznie przyjmuje styl

życia czarnych (nie czarnych „wyrobników”, ale czarnych uosabiających „soul”), a przynajmniej bawi się tą konwencją. W modzie jest trawka, typowy dla tamtego środowiska ubiór i żargon, pusty seks oraz bycie „cool”.

Mamy tu do czynienia z czymś więcej niż młodzieńczym buntem. Tego typu zachowanie nie jest przejawem sprzeciwu wobec obowiązującego sposobu myślenia. Raczej odzwierciedla ono powszechne w społeczeństwie poczucie winy za wykluczenie poza nawias szeregu jednostek „patologicznych”. W socjologii na przykład, w literaturze poświęconej problemom społecznym, odpowiedzialnością za istnienie owych problemów obarcza się zawsze „społeczeństwo”. Przy czym, o ile do niedawna większość dyskutujących na temat przestępczości podkreślała, że do obowiązków społeczeństwa należy tak odmienić warunki życia naruszającego prawo, aby rozpoczął on życie w miarę szanowanego, przestrzegającego prawa obywatela, obecnie najnowsze trendy promują raczej potępienie prawego stylu życia jako komedii obłudy, przeciwko której przestępca słusznie się buntuje. Natomiast, jeśli chodzi o poglądy czarnych, ich ostatni, radykalny zwrot na rzecz separatyzmu poprzedziły wysiłki biało-liberalnej propagandy starającej się udowodnić, że integracja międzyrasowa jest z punktu widzenia „subkultury rasowej” beznadziejnym pomysłem. Pod wieloma względami stoi ona bowiem wyżej od rasistowskiego, szowinistycznego, purytańskiego, sztywnego „białego społeczeństwa”.

Mianem złej określono samą zachodnią cywilizację. Jak zauważył Frank S. Meyer przez kilka dziesięcioleci intelektualiści rozwijali doktrynę relatywizmu, według której wartość każdego poglądu lub instytucji jest względna. Pinezka jest *równie* użyteczna, co poezja. Kiedy więc wiosną 1968 roku w Cornell University miał miejsce incydent, podczas którego doszło do aktów przemocy, zajęcia gabinetu i gróźb z bronią w rękę, dziekan Stuart M. Brown w zasadzie rozgrzeszył odpowiedzialnych za te wydarzenia studentów. Potępił natomiast uczącego ich profesora ekonomii, który stwierdził, że cywilizacja zachodnia stoi wyżej niż inne, co według Browna mogło rozżłościć słuchaczy, stanowiąc „wyjątkowo rażący przykład rasizmu, z którym czarnoskórzy ludzie spotykają się w całej białej społeczności”.

Te i wiele innych podobnych incydentów to oznaki kryzysu autorytetów. Puste slogany głoszące, że nic nie jest lepsze niż coś innego (relatywizm) i nikt nie jest od nikogo (równość), nie tylko robią dużo hałasu na ulicach, ale co

gorsza, podstępnie osłabiają siłę woli ludzi, których obowiązkiem jest rozkazywać, kierować, nadzorować i dowodzić. Nikt nie bije na alarm. Oczywiście utrzymująca się u większości naszych obywateli wiara w tradycyjne amerykańskie wartości i ponadczasowość amerykańskiego doświadczenia przetrwa jeszcze jakiś czas. Niemniej jednak, zmniejszająca się pewność siebie u osób obarczonych obowiązkiem sprawowania władzy robi wrażenie.

Wpływowi biznesmeni przypominają czasami oskarżonych w sądzie: kiedy zaprzeczają, kim są i do czego dążą, lub kiedy zmieszani odwołują się do sloganów sprawiedliwości społecznej, edukacji oraz wspierania życia kulturalnego lokalnej społeczności. Przez ten nerwowy bełkot sami podkopują swoją pozycję, ponieważ produkcja towarów i świadczenie usług na skalę niezbędną do rozwoju i planowania awaryjnego, to jedyna funkcja, która może usprawiedliwić ich władzę.

Na podobnej zasadzie zawodowego samobójstwa dokonują oficerowie marynarki, którzy w zgodzie z „sumieniem społecznym” przyzwalają na specjalne traktowanie czarnoskórych rekrutów w wydawać by się mogło nieznaczących, lecz ważnych z symbolicznego punktu widzenia kwestiach, takich jak salutowanie czy nieregulaminowe fryzury. W środowisku akademickim można nawet spotkać osoby, które, jak się wydaje, rezygnują ze swojej roli na kolanach. Należą do nich ci wykładowcy i profesorowie, którzy poddają się dyktatorskim żądaniom studentów, postulujących „trzymanie się tematu” (co jest równoznaczne z natychmiastowym i całkowitym brakiem zgody na wszelkie dodatkowe informacje) w trakcie przygotowywania i wygłaszania wykładu oraz ci, którzy zachęcają studentów do udzielania im rad w sprawie celów programu nauczania, deklarują brak powołania do zawodu lub wyznają, że właściwie nie pełnią na zajęciach żadnej konkretnej funkcji. Skoro studenci przybywają na kampus z góry wyposażeni w wiedzę, o tym czego i dlaczego chcą się uczyć, to czy jest w ogóle jakiś sens utrzymywania instytucji szkolnictwa wyższego?

Czas autorytetów dobiega końca. Wszędzie i dla wszystkich. Wbrew poglądom liberalnej mitologii, autorytetu nie można obronić jedynie dzięki perswazji ustnej, nawet jeśli przybiera ona formę dialogu. W ostatecznym rozrachunku nie da się bowiem udowodnić, że ktoś *powinien* okazywać innym posłuszeństwo lub szacunek, tak jak nie da się udowodnić, że ktoś *powinien* mieć więcej talentu lub pieniędzy niż inni. Tego typu różnice można jedynie z miejsca

zlekceważyć, darzyć je zaciętą nienawiścią albo (mniej lub bardziej powściągliwie) zaakceptować.

Motywację dla jednostki pozostającej pod władzą autorytetu stanowi chwiejna kombinacja wewnętrznego podporządkowania się i zewnętrznej kontroli. Podczas procesu odrzucania autorytetu w pewnym nieokreślonym punkcie wewnętrzne podporządkowanie przeradza się w anarchię, a zewnętrzna kontrola zamienia się w totalitarny przymus. Konsekwentne dążenie do egalitaryzmu prowadzi do nieuniknionego finału. Najpierw przyczynia się ono do siania anarchii, a następnie wywołuje dalsze reakcje, gdyż dziecko zostaje pozbawione dobrego powodu do słuchania rodziców, żołnierz do wypełniania rozkazów oficera, student do czytania zadanych materiałów, obywatel do przestrzegania praw swojego kraju, a pracownik do wykonywania przydzielonych mu obowiązków.

Retoryka i fakty niespecjalnie idą ze sobą w parze. W swoich pełnych patosu przemowach zwolennicy egalitaryzmu próbują usprawiedliwić upadek autorytetów i potępiają wszelkie przejawy braku równości na skalę nieznaną w poprzednich epokach. Tymczasem fakt, że w Ameryce jest teraz mniej nierówności społecznych niż kiedykolwiek wcześniej, fakt, że jest ich mniej niż powiedzmy w Wielkiej Brytanii, Francji czy w Niemczech i o wiele mniej niż w Związku Radzieckim lub w Indiach, bądź w którymkolwiek z tzw. krajów zacofanych gospodarczo, nie jest w ogóle brany pod uwagę. Przyjrzymy się temu zagadnieniu bliżej.

Kluczowym powodem, dla którego w Ameryce jest mniej nierówności społecznych, niż w innych miejscach na świecie, są wybitne osiągnięcia tego kraju na polu rozwoju kapitalizmu. Prekursorem był Henry Ford, który mimo iż zupełnie nie zdawał sobie sprawy ze swojej roli, zapoczątkował rewolucyjne zmiany. On i jemu podobni porzucili stary „rynek klasowy” i zaczęli budować i zaopatrywać „rynek masowy”. To właśnie wtedy, i dopiero wtedy, klasy społeczne, w każdym historycznym znaczeniu tego słowa opuściły Amerykę. Główne przesunięcie w stronę „bezklasowego społeczeństwa” dokonuje się nie dzięki przyjęciu marksistowskiego dogmatu, ale poprzez przystosowanie kapitalistycznego rynku do masowej produkcji. Kiedy na przełomie wieków producenci samochodów sprzedawali wyłącznie luksusowe modele pojazdów, ich zakup był trudnym do osiągnięcia przywilejem. Teraz, kiedy General Motors

oferuje samochody o podobnym wzornictwie i na każdą kieszeń, przywilej stał się równoznaczny z szeregiem stopniowych awansów.

Na ile ideologia demokratyczna służyła jedynie uzasadnieniu procesu zanikania nierówności w społeczeństwie industrialnym, a na ile sama w sobie przyczyniła się do powstania bezklasowego społeczeństwa, pozostaje kwestią otwartą. Tak czy inaczej w ideologii demokratycznej można zauważyć pewne sprzeczności. Przykładem może być leżąca u jej podstaw kwestia równości.

Z jednej strony „wszyscy ludzie są równi i powinni mieć równe szanse w dążeniu do szczęścia”, jednak z drugiej strony „równość” grała zawsze jednak drugie skrzypce po „równych szansach”. To tej drugiej wartości większość społeczeństwa była i jest najbardziej wierna: może nie wszyscy ludzie są realnie „równi” pod względem pozycji społecznoekonomicznej lub dziedziczonych genów, ale wszyscy powinni mieć szansę na osiągnięcie sukcesu.

Co ciekawe, realny brak równości — na przykład praca w firmie, która na wzór naszych małych przodków, poprzysięgła wierność walce o dominację — przez wielu z nas definiowany jest jako równość szans. Szans na co? Na prześcignięcie konkurencji. Gdyby ująć to bez ogródek i doprowadzić do ekstremum, okazałoby się, że mamy jedynie garstkę zwycięzców i całe mnóstwo przegranych. Do niczego takiego nigdy jednak nie doszło, ponieważ jeśli chodzi o sukces, zdecydowana większość obywateli nigdy nie miała zbyt wysokiej skali porównania. Dla kolejnych fal imigrantów punktem odniesienia byli zubożali rodacy, których zostawili w ojczyźnie. Na sukces składało się zaś osiągnięcie przeciętnego, amerykańskiego poziomu edukacji, zakwaterowania, języka, ubioru i zachowania. Dla większości z ich dzieci i wnuków sukces oznaczał zdobycie lepszego wykształcenia niż rodzice, i może jeszcze dom na bogatych przedmieściach jako dopełnienie lepszej posady. Natomiast dla większości Amerykanów, z którejkolwiek dekady, sukces był równoznaczny z widocznym wyjściem ponad lub wykroczeniem poza ustanowione już na etapie poprzednich pokoleń standardy. Odkąd ciąglemu wzrostowi przeciętnych oczekiwania towarzyszą szybkie migracje, w pewnym skromnym sensie można przyjąć, że większości społeczeństwa udało się odnieść sukces.

Ale tak jak wybór między małżeństwem a karierą oznacza zamknięcie za sobą pewnych drzwi, tak i za wszelkie korzyści, które odnosimy dzięki ideologii równych szans, trzeba zapłacić pewną cenę. Swoim samopoczuciem psychicznym

placą za nie ci, którzy nie mogą odnieść sukcesu, a którzy w przeciwnym wypadku pozostaliby względnie zadowoleni. W epoce obfitości uczucie zawiści nie może być już skierowane przeciwko garstce bogaczy, niechęcią darzy się więc zastępy dobrze zatrudnionych. Innymi słowy, liczba osób, z którymi porównuje się przegrana osoba, ku jej nieszczęściu, stale rośnie.

Jak mówi Jackson Tody: „Jeśli rozwój szans edukacyjnych i zawodowych we współczesnym świecie może powodować wzrost poczucia krzywdy u przegranych, to jest to nieco deprymująca perspektywa”. Według Helmuta Shoecka: „Tylko istnienie pewnych czynników zewnętrznych przyczyniających się do powstawania nierówności umożliwia niespełnionej jednostce pogodzenie się ze swoim losem”. Przegrany nie może już dłużej winić pecha lub „systemu”, kiedy naciska się go, aby nie pozostawał w punkcie, w którym jest. Jedyne, co mu więc pozostaje, to przyjąć niechciane, darmowe szkolenie zawodowe.

Jeśli jednak równe szanse wzbudzają niezadowolenie mniejszości, to dążenie do stanu dosłownej „równości” przyczyni się do rozwoju jeszcze głębszej frustracji i to zarówno u mniejszości, jak i u większości. Weźmy na przykład pod uwagę obecne wysiłki mające na celu „sprawiedliwe wynagrodzenie” czarnym krzywd, wyrządzonych ich przodkom przez białych, których potomkowie stanowią z kolei mniejszość. Czy czarni nam dorównają, jeśli *obniżymy*, wyłącznie dla nich, standardy kształcenia i zatrudniania? To złudny i bezcelowy pomysł. Nie da się komuś nagle „przyznać” niewypracowanych przez niego osiągnięć — ani w ten, ani w żaden inny sposób. Gdyby podjęto takie próby, mogłoby to jedynie doprowadzić do rewizji pojęcia społecznej niższości. Zaczęto by ją utożsamiać z korzystaniem z pomocy instytucji charytatywnych i pozytywną dyskryminacją. Mówiąc jakiejś osobie, nawet nie wprost, że nie jest w stanie spełnić tych samych norm ubioru, punktualności, etykiety i sposobu zachowania, które obowiązują innych, odzieramy ją z człowieczeństwa. Obniżanie standardów stanowi jedynie pożywkę dla rasizmu, wyzwalaając protekcjonalizm, który był jednym z głównych czynników rozpalających nienawiść Czarnych Panter.

Co ciekawe, ten pęd ku równości absolutnej za większe zagrożenie uznają raczej ci średnio zamożni, a nie ludzie naprawdę bogaci, pośród których możemy znaleźć wielu twórców publikacji promujących równość szans. Zapewne wierzą oni, że z wszelkich przemian wyjdą bez szwanku. Rośnie jednak niezadowolenie pierwszej z wymienionych grup, nawet jeśli w mediach i kręgach naukowych

pozostaje ono właściwie niezauważone. Będzie nieuchronnie rosnąć dalej, ponieważ żądanie, aby wszyscy byli traktowani tak samo, jest pogwałceniem najbardziej pierwotnego z wszelkich subiektywnych standardów sprawiedliwości: ten, któremu dzięki własnemu wysiłkowi udaje się dorównać określonym wymaganiom, powinien zostać wynagrodzony, a ten, któremu się to nie udaje, ukarany lub przynajmniej pozostawiony bez nagrody. Właśnie w zgodzie z tą zasadą, w każdym ze znanych nam współcześnie społeczeństw, dzieci przystosowywane są do funkcjonowania w rodzinie i w większej, pozadomowej społeczności.

Ci, którzy krytykują różnego rodzaju programy, zapewniające z pieniędzy podatników każdemu, bez względu na to, czy pracuje czy nie, pewien ustalony poziom wygodnego życia i dowodzą, że na skutek tego więcej niż zwykle ludzi będzie chciało dobrowolnie pozostać na bezrobociu, pomijają jeden istotny szczegół. Oczywiście ogólnie rzecz biorąc mają oni rację, ale nie tylko to zjawisko będzie miało katastrofalne konsekwencje. Ludzie na zasiłku już teraz mogą odrzucać nieatrakcyjne oferty pracy, podczas gdy z Meksyku, Kanady i Irlandii sprowadzamy co roku tysiące kobiet do sprzątania w domach. Jednak o działaniach prewencyjnych, odciążających pracowników opieki społecznej od ich niewdzięcznych obowiązków, nie pisze się na pierwszych stronach gazet i większość podatników nie zdaje sobie z ich istnienia sprawy.

Inaczej jest z rocznym minimalnym zabezpieczeniem społecznym. Po jego wprowadzeniu każdy wiedziałby dokładnie, ile wynoszą publiczne świadczenia finansowe i nie można by ich ukryć przed opinią publiczną. Byłby to z pewnością niespotykany w dziejach eksperyment: wynagrodzić po równo tych, którzy, wedle powszechnie przyjętych norm, niczego nie osiągnęli ani nie starają się osiągnąć, i tych, którzy muszą wykonywać swoją monotonną, odrażającą lub brudną pracę, kluczową dla funkcjonowania społeczeństwa, a więc ludzi zmywających naczynia, zamiatających podłogi, zbierających śmieci, pielęgnujących chorych, czyszczących rury ściekowe, pilnujących więźniów, pompujących paliwo itp. Narosłaby zapewne nowa fala frustracji. Tym razem w marazm i rezygnację stopniowo popadliby ci, którzy niegdyś z dumą mówili o sobie, że może nie są bogaci, ale i nikomu nic nie zawdzięczają, ci którzy trzymali głowy w górze, ponieważ nigdy nie chcieli, ani nie musieli korzystać z

pomocy społecznej. Tymczasem, tych kluczowych, lecz niespecjalnie cenionych zawodów nikt by nie wykonywał.

Tak naprawdę, opisana wyżej sekwencja wydarzeń raczej nigdy by się nie wydarzyła. Bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz: w którymś momencie rząd byłby zmuszony rozpocząć politykę odwrotną i wzmocnić w obywatelach pragnienie bycia uczciwym i bogacenia się, próbując jednocześnie zwiększyć dystans między tymi na dole i tymi na górze drabiny społecznej zamiast go zmniejszać. Jednak cena, jaką przyszłoby zapłacić za wcześniejszy zamęt i dezorganizację, byłaby bardzo wysoka.

Dlaczego powszechna równość jest tak pożądana, a wszelki jej brak potępiany, jeśli nie przez wszystkich, to przez wystarczająco wielu, aby niszczyć strukturę porządku? Ci, którzy próbują znaleźć odpowiedź na źródło problemu, wskazują najczęściej to, co uznają za upadek systemu kontroli. Według nich, rodzina stała się zbyt pobłażliwa i za bardzo skoncentrowana na dziecku — dzieci pozbawia się wolności psychicznej, gdyż brakuje odpowiedniego bodźca, który mógłby zapewnić im jedynie określony system zasad. Sędziów oskarżają o zacieranie granic pomiędzy literaturą a wulgarnością, określonymi w kodeksie prawami jednostki a specjalnymi przywilejami dla mniejszości oraz winą a niewinnością, a także o to, że sami podważają własne prawo do wymierzania kary i godzą się na utrwalanie niesprawiedliwości.

Jak podkreślają, religia nie jest już dla ludzi życiowym drogowskazem i hamulcem moralnym. Według brytyjskiego socjologa Johna Plamenatza utrata wiary spowodowała, że Opatrzność przestała pełnić rolę najwyższej wyroczni, wspierającej dawny porządek, na mocy którego niektórzy ludzie stawiani byli ponad innymi i w którym „ci znajdujący się najniżej w hierarchii potrafili się z nią łatwo pogodzić oraz zdobyć się na dużą lojalność, może nie wobec samej religii, ale wobec pewnych zaangażowanych w nią osób”. Kiedy ustalony porządek staje się czymś, co ludzie mogą zmieniać zależnie od swoich upodobań, traci rację bytu. Wszelkie różnice w statusie społecznym i dochodach muszą zostać czymś uzasadnione, ale kiedy nieustannie próbujemy to robić, z czasem nasze wysiłki stają się daremne. „Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że jeśli (nierówności społeczne) nie mogą być niczym uzasadnione, należy je znieść”.

Natomiast za upadek systemu kontroli przeważnie obwinia się dwa rozwijające się współcześnie zjawiska. Pierwszym z nich jest dostatek. Porażka w

dążeniu do celu, a nawet niechęć do pracy nie podlegają już karze. Po jednej stronie mamy pobierających zasiłek amatorów dobrej posady, którzy nie są zobowiązani do podjęcia żadnej pracy poniżej ich opłacanej przez rząd godności. Po drugiej stronie mamy niepracujących absolwentów, biorących od rodziców pieniądze na trawkę, prochy, broń i te drogie samochody, którymi jeżdżą na cykliczne rockowe festiwale promujące milionerów z ulicy wyśpiewujących protesty przeciwko materializmowi.

W takich warunkach, które potrwają zapewne nieco krócej, niż sądzi wielu obserwatorów, jedynie po wysoce zmotywowanych jednostkach można spodziewać się więcej niż minimum życiowego wysiłku. Tymczasem, cudownym sposobem, u większości ludzi nadal widać dużą motywację do pracy nad sobą, co każe nam podejrzewać, że dążenie do rozwoju jest dla gatunku ludzkiego stanem naturalnym. Niektórzy podkreślają jednak, że zanikła presja niedostatku, która wymusza zaangażowanie do pracy wszystkich rąk. W konsekwencji, dla rosnącej liczby tych, którzy próbują coś osiągnąć (jak zawsze, w imię poczucia własnej wartości), potrzeba zatrudnienia jest w mniejszym stopniu oparta na przekonaniu, że każdy człowiek musi mieć swój wkład w tworzeniu wspólnego dobra. Dzisiejszy dobrobyt niesie za sobą pokusę lawirowania między próżniactwem a podjęciem planowanego wysiłku. Tym samym osłabia u wielu jednostek ten aspekt pracy, który Freud uznawał za niezbędne ogniwo łączące ludzi z rzeczywistością.

W powyższej teorii jest wiele racji, ale to bardziej zdroworozsądkowy wywód niż logiczna demonstracja. Należy pamiętać, że choć niektóre osoby pracują o wiele mniej niż dotąd, inne pracują o wiele więcej. Stan powszechnego dobrobytu nie wpływa więc na motywację do pracy w sposób jednolity.

Pojawiła się tzw. dualistyczna kategoria pasożytów, obejmująca ludzi na obu krańcach skali dochodów. Liczebnością bije na głowę którąkolwiek z wcześniejszych „klas próżniaczych”, funkcjonujących w czasach realnych podziałów klasowych. Tolerowanie owych pasożytów, a nawet wynoszenie ich na piedestał, bardziej niż jakkolwiek możliwy do udowodnienia fakt, przyczyniło się do zdyskredytowania poglądu, że praca jest człowiekowi potrzebna. Najlepszym przykładem ciemnoty, która się wśród nas szerzy, są niedawne prognozy pewnego znanego uczonego, który przewidywał, że w ciągu kilku lat nastąpi drastyczny spadek siły roboczej, podczas gdy poziom życia będzie stale się

polepszał. W innej części swojego raportu dowodził, że w ciągu pięciu lat o 50% wzrosnie liczba lunatyków. Innymi słowy, próbuje on wykazać, że z powodzeniem możemy pozwolić sobie na utrzymywanie zastępów pasożytów, ponieważ istnieją ludzie, którzy zostali wybrani do tego, aby pracować dłużej i ciężiej.

Wśród owych wybrańców znajdują się wysoce wykwalifikowani inżynierowie, na usługi których popyt znacznie przekracza przewidywaną podaż. Zatrudnienie znajdują również dyrektorzy przedsiębiorstw i fachowcy. Wygląda na to, że cała „struktura klasowa” została odwrócona do góry nogami. Przez stulecia ci, którzy byli na górze, pracowali mniej niż inni, o ile w ogóle zajmowali się pracą. Teraz jednak, zgodnie z tym, co na podstawie swoich szczegółowych badań twierdzi Wilensky, fachowcy i przedsiębiorcy pracują dłużej i ciężiej niż jakakolwiek inna grupa zawodowa, a w najbliższej przyszłości będą oni mieli jeszcze mniej okazji na korzystanie z czasu wolnego. Tymczasem nikt, nawet profesor Wilensky, nie wyjaśnił, dlaczego wspomniane ofiary „niesprawiedliwości społecznej” dalej powinny się na nią godzić. W każdym razie obecne rażące dysproporcje między wkładanym wysiłkiem a otrzymywaną za niego gratyfikacją mogą doprowadzić do załamania systemu kontroli na skalę nieprzewidywaną w zwyczajowych dyskusjach na temat dobrobytu i jego wpływu na społeczeństwo.

Drugim współczesnym zjawiskiem, przywoływanym często w kontekście załamania systemu kontroli, jest bezprecedensowe tempo zmian w dzisiejszym świecie. Peter Gay przewiduje, że nastąpi swoisty „bunt syna wobec ojca” — na wzór tego, który miał miejsce w Niemczech, w okresie międzywojennym. Jak twierdzi, młodzi Niemcy żyli wówczas w świecie, którego wartości, a nawet cele, odbiegały od tych bliskich ich rodzicom. Niektórzy amerykańscy psycholodzy społeczni są jednak innego zdania. Dowodzą, że przepaść międzypokoleniową zastąpi przepaść „wewnątrzpokoleniowa”, ponieważ wartości i cele nastolatków, których dzieli 5-7 lat różnicy, są równie odmienne, co jeszcze dziesięć lat temu wartości i cele nastolatków oraz ich rodziców.

Współczesne tempo zmian jest tak duże, że ludzie w średnim wieku patrzący w przeszłość, w czasy swojej młodości i przypominający sobie ówczesne przekonania i sposób myślenia, czują, że pod naporem obcości i ulotności dzisiejszego świata grunt usuwa im się spod nóg. Wielu z nich nie jest już pewnych, w co wierzyć, i czy to, czego się trzymają, jest wciąż aktualne. Poczucie konsternacji podkopuje ich wiarę w to, co osiągnęli, a nawet w to, kim

są. Już wrzawa toczących się wokół sporów, zalew argumentów i kontrargumentów może wzbudzić w nich niepewność, co do przyszłości własnego i innych autorytetu.

Lecz ponownie, tak jak w przypadku dobrobytu, nie mamy tu do czynienia z prostym związkiem przyczynowo-skutkowym. Znacznej części obywateli w średnim wieku udaje się prowadzić życie na w miarę stabilnym poziomie. Nie poddają się władzy dzieci. Próbuje żyć z godnością z zasadami, nawet tymi nowymi, które nie są dla nich do końca zrozumiałe. Nie wymieniają się żonami na przedmieściach, niezależnie od tego za jak „dojrzałe” uznają kręcone tam filmy. Ciężko pracują, wciąż są na tyle wierni ideałom patriotyzmu, że obchodzi ich, co dzieje się z tym krajem, i na tyle religijni, że ignorują nieopierzonych, pogardliwych kleryków, którzy tak naprawdę uczą ateizmu.

Z grubsza to samo tyczy się ich dzieci, choć oczywiście wśród nich takie osoby spotyka się nieco rzadziej i, ogólnie rzecz biorąc, młode pokolenie jest nieco mniej oddane dawnym wartościom. Gdzieś wśród pochlebnych sloganów hedonizmu i anarchii nadal kryje się przywiązanie do protestanckiego etosu. Choć jego pierwotne założenia wyraźnie uległy rozmyciu i dokonano wielu ustępstw na rzecz przyjemności, młodzi Amerykanie wciąż są skłonni ciężko pracować, zarówno w szkole, jak i poza szkołą. Kiedy przychodzi ich kolej, chętnie kontynuują tradycję zakładania rodziny. Wciąż dążą również do samorealizacji na polu zawodowym.

Pomimo wszechobecnego dobrobytu i chaotycznych przemian kulturowych, jedynie mniejszość obywateli (mimo iż z perspektywy dziejów dość znaczna), czynem i sercem dąży do obalenia istniejącego porządku, lub innymi słowy: do zniesienia wszelkich nierówności. Jedynie mniejszość odrzuca szansę na odniesienie sukcesu, a jednocześnie, świadomie lub nie, dąży do upokorzenia i zniszczenia swojego kraju. Nie zapominajmy również, że ludzie ci są odbiorcami przesłania profesjonalnych wichrzycieli, obecnych w mediach, Kongresie i środowiskach naukowych.

Ale dlaczego w ogóle istnieje taka mniejszość? Dlaczego niektórzy zareagowali na otaczającą ich rzeczywistość inaczej niż pozostała większość? Przyczyn nie należy szukać jedynie w zmieniających się warunkach życia ani w słabnącym systemie kontroli, bo herezję agnostycyzmu historia demaskuje w każdym stuleciu. Niszczycielskie powstania chiliastów wzniecone przez niewielkie,

co prawda, mniejszości miały miejsce w XI, XII i XIII wieku, a więc czasach kojarzonych zwykle ze stabilnością przekonań i niepodważalnością ustalonej hierarchii.

Być może czasy współczesne nie tyle spowodowały panujące dziś na skalę większą niż w poprzednich dekadach niezadowolenie i wyobcowanie, a jedynie wyzwoliły ich drzemiące pokłady. Jeśli faktycznie tak było, to wydarzenia rozgrywające się na naszych oczach można przynajmniej po części wyjaśnić w kategoriach obecnej w ludzkiej naturze pewnej stałej. Natężenie jej oddziaływania jest u każdego różne, podobnie jak mniej lub bardziej silna jest w każdym z nas chęć dążenia do dominacji. Zgodnie z tą hipotezą ludzkiej skłonności do tworzenia i utrzymywania hierarchii towarzyszy pragnienie ujrzenia owych hierarchii w gruzach. Przeważającej większości, mimo silnej pokusy, udaje się zdławić ten impuls. Pewna mniejszość natomiast jej ulega. Biorąc to pod uwagę, kluczową różnicę między naszą dekadą a dekadami poprzednimi, stanowi rozmiar omawianej mniejszości.

Socjolodzy popełniają stale jeden zasadniczy błąd. Sądzą, że jeśli możliwe jest prześledzenie faktów i zmian, którym podlegają, potrafimy również wyjaśnić, co determinuje nastawienie ludzi do świata i skąd biorą się zmiany ich poglądów i zachowań. Tymczasem, choć między warunkami społecznymi a zachowaniem człowieka istnieje pewna relacja, nie jest ona tak prosta i bezpośrednia. Stanowi cechę odróżniającą nasz gatunek od innych naczelnych. Otóż, poza tym, że człowiek w przeciwieństwie do małp posiada swój język, jego zachowania i reakcje nie odnoszą się do faktów lub rzeczy „takimi-jakimi-są”, ani nawet „takimi-jakimi-się-stały”. Liczy się *znaczenie*, jakie one dla niego mają, a tego nie da się stwierdzić na podstawie jakichkolwiek analiz faktów.

„Fakty”, które człowiek rejestruje w swoim środowisku, to pochodna tworzących się w jego umyśle obrazów. Na przykład zespół redakcyjny „The New Republic” jest całkowicie oddany ideom zawartym w artykule Johna Galbraitha, w którym autor wyraża przekonanie, że nieograniczone wydatki na sektor publiczny (z pieniędzy podatników) zrobią z Ameryki raj na ziemi. Według nich utrzymująca się groźba recesji wynika z *faktu*, że rząd nie nakłada wystarczającej ilości podatków i za mało wydaje. Natomiast, zdaniem innych publicystów za utrzymującą się groźbę recesji odpowiedzialny jest *fakt*, że obciążenia podatkowe i wydatki rządu przybrały monstrualne rozmiary.

Dziesięć lat temu niektóre z najbardziej wpływowych osób kształtujących opinię publiczną niepokoiły się kwestią zbyt dużego dobrobytu. Dziś ci sami dżentelmeni przestrzegają przed niezwykle poważnym problemem amerykańskiego ubóstwa — i to w sytuacji, w której, według wszelkich możliwych norm i porównań, poziom ubóstwa jest nieskończenie mały, w której dajmy na to, czarni, mają wyższy średni roczny dochód niż mieszkańcy Kanady. Choć bunt jeszcze nigdy nie był tak modny i tak starannie chroniony prawem, Krajowa Komisja ds. Przeciwdziałania Przemocy niepokoi się, że „istniejące formy zadośćuczynienia dla osób pokrzywdzonych”, gwarantujące im wolność słowa, zgromadzeń i protestów „są niewystarczające”. Czy obecna fala płomiennej retoryki znajduje w ogóle potwierdzenie w faktach? Zdezorientowany i zastraszone dziekan *collegu*, podejmujący desperackie i daremne próby dogodzenia wszystkim dookoła, w pewnych kręgach akademickich jest oczywiście uważany za faszystowsko-rasistowskiego drania.

To nie zmieniająca się rzeczywistość, ale retoryczne manipulacje wpływają na odmienne odczytywanie znaczeń. Źródłem tych manipulacji jest z kolei sprzeczność, nie wobec jakichkolwiek przejawów, częstokroć stosunkowo niewielkiego, niedostatku bądź domniemanej niesprawiedliwości, lecz wobec kondycji ludzkiej.

Bez względu na to, jakie poczucie własnej tożsamości posiadają zwierzęta, w tym przedstawiciele człękkształtnych, musi być ono naprawdę prymitywne, gdyż ich umysły są zamknięte w wiecznej terażniejszości. Tylko człowiek, dzięki językowi może w wyobraźni wyodrębnić się spośród innych jednostek, bądź się z nimi łączyć, w bliskiej lub dalekiej przestrzeni, w przeszłości, przyszłości lub terażniejszości. Własna tożsamość oddziela go od pozostałych osobników tego samego gatunku, a jednocześnie ma on poczucie tożsamości zbiorowej i identyfikuje się na płaszczyźnie ponadczasowej z losami narodów, historią i wszechświatem.

Sam człowiek postrzega jednak czas, w którym żyje w kategoriach *najistotniejszych* wydarzeń mających miejsce w danej chwili, momentów związanych z podejmowaniem wiążących decyzji. Każde pokolenie wierzy, że następne nigdy nie zapomni tego, co zostało zrobione tu i teraz. Jak ujął to Jakub Burckhardt: „Każdy postrzega swoją epokę jako tę, w której manifestują się wszystkie pozostałe i nie dostrzega, że czas, w którym żyje, to również jedynie

jedna z wielu przemijających fal”. Powoduje to, że gdzieś w podświadomości człowiek albo uważa siebie za wyjątkowo ważnego i niezastąpionego, albo żywi zaciętą nienawiść wobec wszystkiego, co dowodzi, że tak naprawdę taki nie jest. Z kolei Camus podkreślał, że każdy człowiek pielęgnuje skrytą awersję wobec szeregu zwalczających się woli, które uniemożliwiają mu stanie się wszystkim tym, czym mógłby się stać, gdyby mógł usunąć ze swej drogi pozostałych ludzi.

Właściwa wyłącznie człowiekowi zawiść i skłonność do pielęgnowania urazy idzie w parze z posiadaniem uprzedniej wiedzy, na temat tego, że kiedyś jego osoba popadnie w zapomnienie, a człowiek nie potrafi pogodzić się z perspektywą własnej śmierci. Może próbować zaprzeczyć jej istnieniu, wspierając się doktryną życia po życiu. Może starać się oswoić ideę nieodwracalności losu dzięki arkadyjskim wyobrażeniom idealnej przeszłości i utopijnym nadziejom na idealną przyszłość. Wie jednak, że *nie* może cofnąć się do przeszłości, ani żyć w czasie, który ma dopiero nadejść. To właśnie dlatego eschatologia i mity związane z Dniem Ostatecznym tak bardzo oddziałują na wyobraźnię, bez względu na to, czy chodzi o Armagedon, [Ragnarök](#) czy o atomowy holokaust. Jeśli w konkretnym, niezmiernie ważnym czasie musi umrzeć konkretna, niezmiernie ważna osoba, powinno istnieć jakieś tego usprawiedliwienie. Jeśli śmierć świadomości oznacza koniec wszystkiego, niech nastąpi koniec wszystkiego. To skryte pragnienie jest ostatecznym wyrazem dążenia do całkowitej równości.

Podobnie jak u innych człekokształtnych, u człowieka także obserwujemy tendencję do utrzymywania porządku przy pomocy hierarchii społecznych, a w nieco mniejszej skali również przywiązanie do idei równości szans. Dla bardziej rozwiniętej natury ludzkiej typowa jest jednak jeszcze tendencja odwrotna — skłonność do kwestionowania ustanowionej hierarchii, a nawet do życzliwego postrzegania katastrof i zniszczeń. Powyższe rozważania wskazują, że to pragnienie, impuls — nieważne, jak je nazwiemy — nie jest tożsame z agresją, dążeniem do sukcesu bądź współzawodnictwem, związanymi z afirmacją życia. Może się jednak za nimi ukrywać. Spójrzmy na przykład na te hippisowskie wspólnoty, ostentacyjnie poświęcające się kreowaniu nowego stylu życia. Kiedy akurat nie zajmują się zaspokajaniem swoich zachcianek, planują, jak przetrwać zagładę Stanów Zjednoczonych i większości Amerykanów, przy czym w rozważanej przez nich wersji wydarzeń garstka ocalałych jest jedynie w nieco

bardziej ponurym niż zwykle nastroju. Na zdecydowanie mniejszą skalę pragnienie kontestacji ustalonego porządku demonstrują także waleczne feministki, które wyrzekają się roli kobiety, i młodzież, która małpuje styl życia marginesu społecznego.

Ten bunt przeciwko ustalonym strukturom, ten pęd ku równości nie musi się koniecznie ujawniać w trakcie każdej próby mającej na celu obalenie jakiejś konkretnej hierarchii. Zamierzeniem rewolucji amerykańskiej było jedynie zastąpienie obcych rządów miejscowymi, a ci, którzy próbują stawiać znak równości między ideami tego ruchu a tym, co dzieje się dziś na ulicach i na kampusach naszych uczelni, nie powinni zapominać, że koloniści oskarżali rząd brytyjski o łamanie ustanowionego prawa i zwyczajów. Nawet nasi domorośli komuniści z lat trzydziestych dążyli do zastąpienia jednego systemu hierarchicznego innym. Emocje, które wyzwoliły się w ciągu ostatnich kilku lat, są jednak nieco innego rodzaju: mamy do czynienia z powszechnym dążeniem do zniszczenia samej istoty porządku społecznego i wszystkiego, co wiąże się z pojęciem statusu społecznego, z bezmyślną tęsknotą za chaosem. Nie ma sensu pytać hippisów, studenckich bojówkarzy, członków [Czarnych Panter](#) czy [Weather Underground](#), czego chcą. Jedynie niewielu z nich jest wystarczająco przenikliwych, aby pojąć i wystarczająco odważnych, aby wyznać, że ich celem jest sianie zniszczenia.

Rewolucyjnych nastrojów sprzeciwiających się położeniu, w jakim znalazł się człowiek, nie da się uspokoić wprowadzeniem reform społecznych, ponieważ bunt przeciwko nieuchronności ludzkiej śmierci i ograniczonemu znaczeniu naszego gatunku nie wynika z potrzeby społecznej, ale jest kwestią wyboru. Jeśli ten demoniczny element ludzkiej natury jest stale obecny być może jego działanie mogliby zniwelować (u siebie i u innych) ci, u których przeważa tendencja przeciwna — skłonność do podtrzymywania ładu. Jeśli ten egzystencjalny [angst](#) wzbudza w ludziach gotowość do burzenia i niszczenia oznacza to, iż nie podlega on owym dwóm głównym sofizmatom, które pozostawił nam w spadku Rousseau, a które dominują w ideologii i działaniach dzisiejszych czasów. Pierwszy mówi o tym, że ludzie stają się lepszymi obywatelami, kiedy wszyscy są sobie równi. Drugi — że wszyscy ludzie rodzą się dobrzy, a stają się źli wyłącznie pod wpływem zepsutych instytucji społecznych.

Przeciwko niemu i zastępom jego intelektualnych spadkobierców przemawiają dowody. Życie społeczne człowieka jest możliwe tylko dzięki istnieniu władzy, legitymizacji opartej na nierówności hierarchii i stosowaniu zewnętrznego przymusu podtrzymywanego przez instytucjonalne reguły grupy włączającej. Co więcej, jeśli w zakamarkach rozwiniętej ludzkiej natury czai się gdzieś ślepa chęć niszczenia ustalonego porządku, a towarzyszy jej właściwa naszym małym przodkom tendencja do jego utrzymywania, wskazana byłaby całkowita rewizja obecnej mitologii, w szczególności zaś przekonania, że przestępczość, zło i anarchia wynikają jedynie z porażki, jaką poniosło społeczeństwo w niszczeniu nierówności, likwidowaniu ubóstwa i odwoływaniu się do „wyższego sumienia” tych, którzy decydują się nie przestrzegać prawa, które im się nie podoba, lub które uznają za niewygodne.

Krajowa Komisja ds. Przeciwdziałania Przemocy zignorowała ostrzeżenie Tocqueville'a, według którego: „Nienawiść do przywilejów rośnie, w miarę jak stają się one mniej liczne i mniej znaczące”. Najwidoczniej komisja nie poświęciła również wiele uwagi opinii jednego z jej własnych członków, Ericowi Hofferowi, który niezmiennie potępiał wszelkie próby obniżenia standardów równości szans przez nadawanie niezasłużonych „przywilejów”. W każdym razie komisja nalegała, aby dodatkowe 20 milionów dolarów uzyskane z podatków było wydawane każdego roku na „powszechną pomoc społeczną”, w celu ograniczenia „rosnącej fali indywidualnej i zbiorowej przemocy”. Tymczasem *dawanie* biednym lepszego życia, wciąż postrzegane jako „idealna recepta na przemoc”, jest w istocie porażką społeczeństwa.

To się nie mieści w głowie. Czy trzeba najtęższych umysłów w kraju, wielu miesięcy badań i analiz, żeby znaleźć takie oto cudowne panaceum? Mamy przekupić część społeczeństwa zwiększaniem niezasłużonych przywilejów, kosztem tych, którzy na swoje zapracowali, abyśmy mogli czuć się bezpiecznie w naszym własnym kraju?! Pomijając nawet kwestie moralne, ta sztuczka nie będzie działać. W porównaniu z obecną sytuacją skala przemocy wśród biednych obywateli była minimalna w okresie wielkiego kryzysu, kiedy to zakres „powszechnej pomocy społecznej” również był stosunkowo niewielki. Czyżbyśmy więc przestawili dobrze działający mechanizm?

Być może w zwalczaniu przemocy skuteczniejsze od przekupywania części obywateli okazałoby się wprowadzenie w imię wyższego dobra pewnej

formy ucisku? Prawdopodobnie nie, a przynajmniej nie, biorąc pod uwagę całkowity kontekst dzisiejszych czasów. Póki co, taka zmiana podejścia nie spotkałaby się z wystarczającym poparciem opinii publicznej, wystarczająco rozgniewanej, ale pozbawionej jednomyślności. Zbyt długo trwa proces podkopywania autorytetów, w szczególności zaś autorytetów moralnych, niszczonech przez przywódców intelektualnych, religijnych, a nawet politycznych.

Doprowadzono do dziwnej sytuacji. Z jednej strony większość Amerykanów jest względnie zadowolona z obecnego stanu rzeczy. W zasadzie nadal są równie co przedtem wierni ideałom egalitaryzmu. Jednak opuściła ich znaczna część (być może nawet większość) przywódców, którzy otumanieni intelektualnym dziedzictwem Rousseau, są zdeterminowani za wszelką cenę wcielić w życie swoje chore idee. Głośno manifestując celowość swoich zamiarów i podążając za głosem wewnętrznego demonicznego pierwiastka, budzą go również u części innych obywateli. Jednocześnie, poprzez swoje nieustanne i właściwie niekwestionowane apele o „zachowanie rozsądku” sieją zamęt i marazm w umysłach większości. Naszym czasom dotkliwie brakuje kogoś, kto mógłby się temu przeciwstawić.